

# Fiodor Dostojewski

## Stuletnia

— Dziś rano długo się guzdrałam — opowiadała mi parę dni temu jedna pani — i wyszłam z domu dopiero koło południa, a nabierało się, jak na złość, mnóstwo spraw do załatwienia. Akurat na Mikołajowskiej miałam wstąpić w dwa miejsca, jedno niedaleko od drugiego. Po pierwsze do urzędu, i tuż przy bramie spotykam tę właśnie starowinkę, i taka mi się wydała stara, pochylona, z laseczką, ale jednak nie zorientowałam się, ile może mieć lat. Doszła do bramy i tu w kąciuku usiadła sobie na ławeczce stróża, żeby odpocząć. Ja zresztą przeszłam obok niej i tylko mignęła mi w oczach.

Po jakichś dziesięciu minutach wychodzę z urzędu, a tam dwa domy dalej jest sklep, gdzie jeszcze w ubiegłym tygodniu zamówiłam buciki dla Soni, więc poszłam je odebrać przy sposobności, wtem widzę — staruszka siedzi teraz już przed tym domem, znów na ławeczce przy bramie — siedzi sobie i patrzy na mnie. Uśmiechnęłam się do niej, wstąpiłam do sklepu i odebrałam buciki. Trwało to może ze trzy-cztery minuty, potem poszłam dalej, w stronę Newskiego, a tu widzę — moja staruszka jest już koło trzeciego domu, też przy bramie, tylko nie na ławeczce, lecz na występie przycupnęła, bo ławki w tej bramie nie było. Mimo woli zatrzymałam się przy niej. Czemuż to, myślę sobie, siada przy każdym domu?

— Zmęczyłaś się — mówię — staruszeko?

— Zmęczonam, kochana, wciąż jestem zmęczona. Myślę sobie: ciepło, słoneczko świeci pójdę sobie do wnucząt na obiad.

— To ty, babciu, idziesz na obiad?

— Na obiad, kochana, na obiad.

— Toż ty tak nigdy nie dojdiesz.

— Dojdę, dojdę — ot, przejdę kawaleczek i odpocznę sobie, a potem wstanę i pójdę dalej.

Patrzę na nią i okropna mnie zdjęła ciekawość. Staruszka mała, schludna, odzież na niej stara, zniszczona; pewnie z mieszczan pochodzi, z laseczką; twarz blada, żółta — skóra i kości, usta bezbarwne — istna mumia, ale siedzi sobie, uśmiecha się, słonko wprost na nią świeci.

— Co, babciu, chyba jesteś bardzo stara? — pytam jakby żartem.

— Sto cztery lata, kochana, sto cztery latka mam dopiero — zazartowała. — A ty gdzie idziesz?

I patrzy na mnie — śmieje się, jakby się ucieszyła, że może z kimś porozmawiać, ale dziwna mi się wydała u stuletniej taka ciekawość — gdzie ja idę, jakby to było dla niej takie ważne.

— Widzisz, babciu — zaśmiałam się i ja — wzięłam buciczki ze sklepu dla mojej córeczki, no i niosę je do domu.

— A to ci maleńkie buciczki, masz małą córeczkę, co? To dobrze. Więcej dzieci nie masz?

I znowu się śmieje patrząc na mnie. Oczy mętne, prawie martwe, a jednak bije z nich jakiś ciepły blask.

— Babciu, chcesz, dam ci piątkę, kupisz sobie bułeczkę — i podaję jej pięć kopiejek.

— Co to, piątkę mi dajesz? No cóż, Bóg zapłać, wezmę tę twoją piątkę.

— To masz, babciu, nie gniewaj się. — Wzięła. Widać, że nie zebrze, nie przyszło jej na to, nie — wzięła ode mnie tak ładnie, wcale nie jak jałmużnę, lecz jakby z grzeczności czy dobroci serca. A zresztą może nawet była zadowolona, bo któż się do takiej staruszki odezwie, a tu z nią nie tylko rozmawiają, lecz jeszcze się troszczą o nią życzliwie.

— No, żegnaj — mówię — babciu. Obyś doszła szczęśliwie.

— Dojdę, kochana, dojdę. Na pewno dojdę. A ty idź do swojej wnuczki — pomyliła się staruszka zapomniawszy, że mam córkę, nie wnuczkę — widać myślała, że każdy ma wnuki.

Poszłam i ja, obejrzałam się za nią ostatni raz: widzę, dźwignęła się z trudem, powoli, stuknęła laseczką i powlokła się po ulicy. Pewnie jeszcze z dziesięć razy odpocznie po drodze, zanim dojdzie do swoich na obiad. Gdzie ona może chodzić na obiad? Taka dziwna staruszka.

Wysłuchałem tego samego ranka tej opowieści; zresztą, prawdę mówiąc, nie była to nawet opowieść — ot po prostu takie wrażenie przy spotkaniu ze stuletnią (w samej rzeczy, jak często zdarza się spotkać stuletnią, w dodatku o takiej pełni życia duchowego?) — i zupełnie zapomniałem o nim; dopiero późną nocą, przeczytawszy pewien artykuł w piśmie i odłożywszy to pismo, przypomniałem sobie nagle o tej staruszce i, sam nie wiem czemu, błyskawicznie dorysowałem sobie dalszy ciąg: jak to doszła do swoich na obiad — i powstał inny, może całkiem prawdopodobny obrazek.

Wnuki jej, a może i prawnuki, ale już tak za jednym zamachem nazywa ich również wnukami, to pewnie jacyś rzemieślnicy, rozumie się ludzie mający rodzinę, inaczej nie przychodziłaby do nich na obiad; mieszkają w suterenie, może dzierżawią golarnię; ludzie zapewne niebogaci, a jednak odżywiają się jakoś i utrzymują porządek. Dobrnęła do nich zapewne dopiero koło drugiej. Nie spodziewali się jej, ale powitali, być może, dość życzliwie.

— A, Maria Maksimowna, wejdz, wejdz, sługo Boża, prosimy bardzo.

Staruszka wchodzi uśmiechnięta, dzwonek przy drzwiach wejściowych długo jeszcze przenikliwie dzwięczy. Jej wnuczka pewnie jest żoną golarza, a on sam to człowiek jeszcze niestary, może trzydziestokilkuletni, stateczny jak na swój fach, bo to fach lekkomyślny, i oczywiście w surducie wyszmelcowanym jak naleśnik, pewnie od brylantyny, bo ja wiem, nigdy nie widziałem cyrulika wyglądającego inaczej — tak samo kołnierz surduta zawsze mają jakby umączony. Troje małych dzieci — chłopczyk i dwie dziewczynki — podbiegło natychmiast do prababci. Takie bardzo już stare staruszczyki prawie zawsze przyjaźnią się z dziećmi: same stają się bardzo podobne do dzieci, czasem nawet zupełnie. Siadła sobie staruszka. Gospodarz ma gościa: ni to interesant, ni to znajomy, coś koło czterdziestki, już się zabierał do wyjścia. No i siostrzeniec przyjechał w odwiedziny, chłopak może siedemnastoletni, stara się o pracę w drukarni. Staruszka przeżegnała się i siada, patrzy na gościa:

— Ale żem się zmęczyła. A kto to jest u was?

— O mnie idzie? — odzywa się gość z uśmiechem. — Cóż to, Mario Maksimowno, nie poznajecie mnie? Toć zaprzeszłego lata wybieraliśmy się razem do lasu na opieńki.

— Ach, to ty — znam cię, znam, prześmiewco. Ja ciebie pamiętam, tylko z nazwiska nie wiem, ktoś ty taki, ale ciebie pamiętam. Och, ale żem zmęczona!

— No i czemuż to, Mario Maksimowno, staruszeko czcigodna, wcale nie chcecie rosnać? O to chciałem zapytać — żartuje gość.

— A niech cię — śmieje się babcia, zresztą wyraźnie zadowolona.

— Dobry człowiek ze mnie, Mario Maksimowno.

— No, z dobrym to i miło porozmawiać. Och, tak mi jakoś duszno, matuchno. Paletko dla Sieriożeńki, widzę, już wykombinowaliście.

Wskazuje na siostrzeńca.

Siostrzeniec, rosty, tęgi chłopak, uśmiecha się całą gębą i przysuwa się bliżej. Ma na sobie nowiutkie popielate palto i jeszcze nie potrafi go obojętnie wkładać. Obojętność przyjdzie może dopiero za tydzień, a teraz co chwila patrzy na swoje wyłogi, na kłapy i w ogóle cały przegląda się w lustrze i czuje do siebie wielki respekt.

— Obróć się — trajkocze żona balwierza. — Patrz, Maksimowno, jakieśmy mu wyszykowali, sześć rubli kosztowało, co do grosza — taniej, mówił Prochorycz, teraz nawet zaczynać nie warto, sami, powiada, będziecie potem płakali gorzkimi łzami — no a coś takiego jest nie do zdarcia. Widzisz, co za materia! No obróć się! Patrz, co za podszewka — żelazo! No obróć się! Tak, tak, uciekają pieniądze, Maksimowno, poszły w świat nasze grosze.

— Tak, matuchno, taka się teraz drożyzna zrobiła na świecie, że do niczego to niepodobne, lepiej nawet nie mów, nie denerwuj mnie — zauważa z przejęciem Maksimowna, wciąż jeszcze nie mogąc odsapnąć.

— No, już dość tego — przerywa pan domu — trzeba by coś przekąsić. Cóż to, widać tyś się porządnie zmachała, Maksimowno?

— Zmachałam się, racja, dzionek taki ciepły, słoneczko — odwiedzę ich, myślę sobie... co będę leżeć po próżnicy. Och! Jedną panią spotkałam po drodze, młodziutką, trzewiki dzieciom kupiła. „Coś ty taka zmęczona, staruszko? — powiada. — Masz tu piątkę, kup sobie bułeczkę”. To i wzięłam tę piątkę...

— Babciu, babciu, odsapnij kapkę, coś ty się dziś tak zdyszała? — raptem z troską w głosie powiedział gospodarz.

Wszyscy patrzą na nią — nagle bardzo jakoś zbladła, usta jej całkiem zbieleły. Ona też patrzy na wszystkich, ale jakoś mglście.

— No i... myślę sobie... pierniczków dzieciom... za piątkę...

I znów milknie, znów próbuje odetchnąć. Wszyscy nagle umilkli, na parę sekund.

— Co ci, babciu? — pochylił się ku niej gospodarz.

Ale babcia nie odpowiada. Znów milczenie przez parę sekund. Staruszka zrobiła się jakby jeszcze bledsza, twarz się raptem skurczyła. Oczy znieruchomiały, uśmiech zastygł na ustach. Patrzy przed siebie, ale jakby nie widzi.

— Trza by po księdza! — odezwał się półgłosem gość.

— Ale... czy nie za późno... — bełkocze gospodarz.

— Babciu, babciu! — woła żona golarza w popłochu, ale babcia jest nieruchoma, tylko głowa jej chyli się w bok. W prawej ręce, leżącej na stole, zaciska swoją piątkę, lewa pozostała na ramieniu starszego prawnuczka Miszy, chłopca może sześciolatniego. Ten stoi bez ruchu i przygląda się babuni wielkimi, zdziwionymi oczami.

— Skonała! — wolno, z powagą mówi gospodarz przeżegnawszy się i z pokłonem.

— Otóż to właśnie! No bo widzę, przechyla się całkiem! — mówi gość załamującym się głosem; jest wstrząśnięty i ogląda się na wszystkich.

— Boże wielki, coś takiego! Co teraz robić, Makarycz? Tam ją odstawimy, czy jak? — trajkocze z przejęciem zaskoczona gospodyni.

— Gdzie tam — odpowiada statecznie pan domu. — Sami ją tu oporzędzimy, toż to twoja krewniaczka. A zawiadomić trzeba musowo.

— Sto cztery latka, oho! — drepcze w miejscu gość, coraz bardziej przejęty. Nawet poczerwieniał z wrażenia.

— Tak, mało co życia w niej było ostatnimi laty — jeszcze stateczniej zauważa gospodarz, szukając czapki i zdejmując płaszcz z haka.

— A przecież dopiero co śmiała się, tak się cieszyła! Patrzejcie, piątkę ma w ręce!

Pierniczków, powiada, dla dzieci, och, dolo nasza, dolo!

— No chodźmy już, Piotrze Stiepanyczu — przerywa gościowi gospodarz i obaj wychodzą.

Po takiej nieboszczce oczywiście nie płaczą. Sto cztery lata — „skonowała bez boleści i przystojnie”. Gospodyni posłała po sąsiadki do pomocy. Przybiegły w te pędy, niemal z przyjemnością usłyszały nowinę, zawodząc i pojękując. Przede wszystkim, rozumie się, nastawiono samowar. Dzieci ze zdumionymi minami stłoczyły się w kącie i patrzą stamtąd na martwą babunię. Misza będzie do końca życia pamiętał staruszkę — jak zmarła z ręką na jego ramieniu, no a kiedy sam umrze, wtedy nikt już na całej ziemi nie wspomni, nie dowie się, że była kiedyś na świecie taka staruszka i dożyła do stu czterech lat, ale po co i jak — nie wiadomo. Zresztą na co pamiętać: przecież to wszystko jedno. Tak odchodzą miliony ludzi: żyją niepostrzeżenie i niepostrzeżenie umierają. Może tylko sam moment śmierci tych stuletnich starców i staruszek zawiera w sobie coś wzruszającego, spokojnego, coś jakby nawet ważkiego i kojącego: sto lat dziwne jakieś wrażenie robi do dziś na człowieku. Niech Bóg błogosławi życie i śmierć prostych dobrych ludzi.

Ot, taki sobie lekki obrazek bez fabuły. Doprawdy, postanowi człowiek powtórzyć coś ciekawego z zasłyszanych w ciągu miesiąca opowieści, ale gdy przystąpi do pracy, to akurat albo nie wolno, albo jest nie na temat, albo „nie mów wszystkiego, o czym wiesz”, tak że w końcu zostają same tylko rzeczy bez fabuły...

1876

Przełożyła Maria Leśniewska

---